

Bawmy się!

27 kwietnia 2011

Postęp, można powiedzieć, polega nad Wisłą na ciągłych powrotach do tego, co już kiedyś waliło się nam na głowy: ot, ceny w Polsce rosną, a płace relatywnie maleją.

Minęło jak z bicia strzelił dziesięć lat, dwadzieścia lat minęło i trzydzieści lat minęło również, a w Starym Kraju nic się w tym zakresie nie zmieniło. Chyba, że na gorsze: ceny w dalszym ciągu rosną, a płace nadal maleją. Tyle, że szybciej.

No, przesadzam. Różnice są. Kiedyś problemem był towar, potem pieniądze, teraz problemem jest tak zwana „zdolność kredytowa”. Masz zdolność – przynależysz do ludzi nowoczesnych. Nie masz – przeistaczasz się w starą dziurawą patelnię. Czyli przedmiot niegodny jakiegokolwiek specjalnej uwagi. Czyli płacz i oddaj się frapującemu zgrzytaniu zębami. Rzecz jasna, jeśli zęby ci jeszcze zostały. Takie czasy. Takie, na których widok jedni łapią się za głowy, a inni się w głowy stukają. Po mojemu, ci drudzy mają więcej racji.

„Weź kredyt!” – nawołują przy tym ludzie gotowi przychylić nam nieba. „Weź kredyt, otrzymasz nagrodę. Weź kredyt gotówkowy bez wychodzenia z domu. Weź kredyt z Antonio Banderasem. Kredyt bez zaświadczeń. Kredyt przez telefon. Decyzja kredytowa w trzy minuty, pożyczka gotówkowa w pięć minut. Kliknij i dostaniesz”... I tak dalej, i tak dalej. Podobno domokraci pielgrzymują już po domach z walizkami pieniędzy – byle tylko „ustrzelić” chętnego na pożyczkę. Kredytowe szaleństwo rozkręca się w tempie niebywałym. I zgodnie z obietnicą capo di tutti capi Platformy Obywatelskiej, wszystkim żyje się lepiej. Właśnie na kredyt.

NERWY W STRZĘPACH

Komu lepiej, temu lepiej, skoro coraz więcej Polaków sięga po pożyczki, odwołując się do kontrolowanych przez mafię

parabanków, gdyż nie jest w stanie regularnie spłacać rat kredytów zaciągniętych w „normalnych” instytucjach bankowych. Komisja Nadzoru Bankowego oszacowała niedawno, iż na przestrzeni ostatniego półtora roku ilość tak zwanych „zagrożonych” kredytów gotówkowych, to znaczy tych niespłacanych systematycznie, wzrosła o 90 procent, do poziomu pięciu miliardów złotych. W segmencie kredytów hipotecznych ten wzrost sięga 70 procent. Nie dziwota, iż rynek przebojem zdobywają tak zwane „kredyty konsolidacyjne”, umożliwiające zamianę kilku linii kredytowych na jedną, co prawda z dłuższym okresem spłaty, ale za to z odrobinę niższą ratą.

Ludzie rozumni wiedzą: polskie finanse dotknął kryzys, który wcześniej czy później skutkować będzie zaburzeniem płynności finansowej instytucji państwowych w rodzaju Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. O niczym innym nie świadczą nerwowe poszukiwania przez Vincenta „bez peselu” Rostowskiego dodatkowych środków przy wykorzystaniu narzędzi kreatywnej księgowości.

Niemniej kreatywna księgowość, wskazująca, że mimo wzrostu rzeczywistego zadłużenia Skarbu Państwa nie rośnie oficjalny dług publiczny, to dziś zabieg na bardzo krótką metę. Stąd z zerowym ryzykiem popełnienia błędu można powiedzieć, że w polskich finansach dobrze już było, a będzie jeszcze gorzej. W każdym razie bankowców nie dziwią już podobne anegdoty:

– Wiesz – mówi prezes banku do drugiego prezesa – przez ten kryzys to wcale nie mogę spać. Nerwy mam w strzępach.

– No coś ty. A ja śpię jak niemowlę.

– Jak to?

– No tak. Najpierw całą noc ryczę, a nad ranem sr...m w gacie.

KREDYTOWY OBŁĘD

Kiedyś ludzie umiejętnie antycypowali przyszłość, wyznaczając

sobie mniej bądź bardziej precyzyjnie określone cele. Dzisiaj coraz częściej sami stają się celem, a zmiany w świadomości społecznej zachodzą wedle perspektyw kształtowanych przez szamanów postępu, wytyczających ludzkości ścieżkę rozwoju, hierarchię potrzeb oraz dopuszczalne metody ich zaspokajania. I pies drapał konsekwencje odłożone w czasie. W efekcie przestajemy samodzielnie wpływać na bieg własnego życia, poddając się bezwiednie trendom masowo rozpowszechnionym w przestrzeni publicznej. Co gorsza, rezygnujemy ze świadomych wyborów, nawet tego nie zauważając i transformując tym samym w stado deklaratywnych indywidualistów, w pustym zachwycie siorbiących unisono jednaki smak coca-coli codzienności.

Jak to przekłada się na kwestię kredytowego obłędu? Ano tak, że jako nacja wступujemy w ślady Greków i Hiszpanów, nie bacząc na nawracające fale kryzysu oraz to, jak postanowiła sobie z nim radzić Europa. Nasze zadłużenie rośnie, tak jak rosną nasze aspiracje do posiadania największego telewizora w gminie i telefonu komórkowego z kolorowym wodotryskiem. Rzecz w tym, że wraz z naszym indywidualnym apetytem konsumpcyjnym, rośnie też zadłużenie państwa.

I tak, średnio licząc, każdy z Polaków (od najmłodszego oseska do najstarszego starca), ma do spłaty ponad 13 tys. PLN zł kredytów. Zarazem, na każdego z nas przypada ponad 20 000 PLN długu państwowego sektora publicznego. Trzydzieści trzy tysiące nowych polskich złotych na głowę, niezależnie od tego, czy rzeczywiście jesteśmy kredytobiorcami. Normalne szaleństwo, można powiedzieć.

* * *

Według różnych szacunków, dług publiczny przyrasta nad Wisłą w tempie od 170-240 milionów PLN na dobę. Czyli 7-10 milionów PLN na godzinę. To znaczy, 2000-2800 złotych na sekundę. Innymi słowy, katastrofa puka już do naszych drzwi. A my?

A my, panie i panowie, bierzmy kredyt i bawmy się. Jakoś to

będzie, byle tylko w październiku te wstrętne pisiaki nie dorwały się do władzy i nie zabrały za robienie porządków...

Autor: Krzysztof Ligęza

Źródło: [Goniec](#)